

MOJE WSPOMNIENIA Z CZERWONEGO BORU

5 listopada 1982 do 3 lutego 1983¹

Reporter: Zacznę od pytania, kiedy i jak tam dojechałeś.

Żołnierz: Wyjechałem z domu 4 listopada wieczorem pociągiem do Warszawy, rano autobusem z Warszawy do Łomży, gdzie czekała już na nas buda, bo tam w zasadzie nie ma jakiegoś połączenia. Czerwony Bór nie jest jakąś miejscowością, wioską, tylko jest to obszar poligonu i jest tam jednostka wojskowa.

Rep.: Jak wygląda obraz tej jednostki? Są to jakieś murowane koszary?

Żoł.: Sam garnizon wygląda zupełnie jak normalne koszary z murowanymi budynkami. A my byliśmy zakwaterowani w wagonach kolejowych, połączonych po trzy ze sobą, obitych dyktą, w środku były piecyki, żeliwne, małe, tzw. kozy, takie do opalania drzewem i szyszkami. Od początku było bardzo zimno.

Rep.: Jak wyglądało wasze przyjęcie w jednostce?

Żoł.: Był olbrzymi bałagan, bo przyjmowano pięćset osób. Nie mogli sobie z tym dać rady, bo nawet samo spisywanie personaliów zajmowało trochę czasu. Z tym że przy spisywaniu danych personalnych w mniejszym stopniu interesowała ich poprzednia służba wojskowa, stopnie itp., tylko bardziej czy ktoś był internowany uprzednio, czy aresztowany i w ogóle związek ze Związkiem.

Rep.: Czy już wtedy zorientowałeś się, skąd pochodzili wszyscy koledzy?

Żoł.: To już wtedy można było mniej więcej wiedzieć po drodze, w pociągu do Warszawy przy przesiadce do Łomży każdy poznawał swoich znajomych, już wtedy było raczej wiadomo, co tam może być.

¹ Uzupełnieniem wcześniejszego artykułu dotyczącego „inteligentnej formie internowania” jest zachowany w zbiorach CDCN (CDCN RK 54) wywiad z żołnierzem powołanym do służby wojskowej w listopadzie 1982 roku wraz ze składem osobowym plutonu, w którym się znalazł. Do tej pory nie udało się ustalić nazwisk osób prowadzących rozmowę.

Rep.: Z jakiego regionu pochodziło te pięćset osób?

Żoł.: Najwięcej było kolegów z Rzeszowa i Krakowa, część z Lublina i drobne grupki z Sanoka, Krosna, Stalowej Woli i Mielca. Były także pojedyncze osoby z Warszawy i Gdańska.

Rep.: A czy te pojedyncze osoby miały jakieś wiadomości, że ich koledzy są w innych tego typu obozach?

Żoł.: Tak, mówili o obozach tego typu na Wybrzeżu, koło Mielna i Grudziądza, ale nazwy miejscowości nie pamiętam.

Rep.: Czy była jakaś prawidłowość, że te pojedyncze niedobitki były właśnie w Czerwonym Borze?

Żoł.: To trudno stwierdzić. To znaczy było kilka osób takich jak np. te osoby z Sanoka – dwóch się dobrze zna, a ten trzeci jakiś dziwny. Nikt go nie zna, pracuje w zakładzie jakimś większym, to właściwie powinno być o nim coś wiadomo, a jednak nikt go nie zna. Jest na zasadzie przypadku. Niby. A jak było faktycznie, to tylko należy przypuszczać, kto to był.

Rep.: Czy przez cały ten okres wiedzieliście, na jak długo tam będziecie, czy wam coś w ogóle mówiono na ten temat?

Żoł.: Na wezwaniach nie było daty powrotu, wezwania były bezterminowe. Już w Warszawie jednak poniektórzy mieli wpisane daty do 5 lutego 1983 r. Dowództwo nie sugerowało na początku nic, ale po listopadzie mówili nam już o trzech miesiącach.

Rep.: Czy mieszkaliście z kolegami z Regionu, czy was przemieszano?

Żoł.: Zaraz na drugi dzień zaczęło się dzielenie na kompanie i plutony. Wtedy nastąpiło przemieszanie. W końcu utworzono trzy kompanie. Dwie z nich to byli ludzie, którzy z wojskiem nie mieli dotychczas nic do czynienia, ci mieli być szkoleni do przysięgi, tzw. szkolenie unitarne. Trzecia kompania – ci którzy mają poza sobą dwa lata prawdziwego wojska. Dużo było takich ludzi, którzy nie mieli z wojskiem nic do czynienia, z kategorią D, dużo było takich z przeniesieniem do rezerwy ze względu na wiek, bo dużo było takich po 35, 37 roku życia.

Rep.: A byli ludzie w wieku 50 lat?

Żoł.: Było kilka takich przypadków. Był przykład człowieka z laską, który był z nami przez całe trzy miesiące, miał osobistego kaprała, który go prowadził na posiłki, bo samemu tam się raczej nie można było poruszać – teoretycznie oczywiście. Praktycznie – każdy sobie tam jakoś swoje ścieżki wydeptywał.

Rep.: Jak wyglądały odległości?

Żoł.: Jednostka, ten właściwy garnizon, był ogrodzony, tam też były budynki dla kadry oficerskiej. A nasz cały obóz, jak oni to nazywali „zgrupowanie rezerwy”, był oddalony mniej więcej 600, 700 metrów od właściwego garnizonu. Warunki socjalne w obozie były niedobre. W każdym razie porównuję je z Załężem, to wolałbym przesiedzieć te trzy miesiące w Załężu niż tam.

Już później mieliśmy kontakty z tymi normalnymi żołnierzami z garnizonu. Wtedy dowiedzieliśmy się, że oni mieli zapowiedziane wcześniej, że tutaj przyjadą do tego obozu kryminaliści, niebieskie ptaki, ci którzy nie splamili się wcześniej żadną pracą. Mieli zakaz kontaktów z nami, bo nas trzeba nauczyć, bo jesteśmy złodziejami, bandytami. Tak że oni na początku nawet jakby się nas trochę bali, ale później było już całkiem inaczej.

Myśmy nie byli ogrodzeni, bo to było daleko w lesie poza jednostką. Nawet do stołówek była odległość 1 do 1,5 kilometra, to było takie odludzie. W sąsiednich barakach była jeszcze kompania z MSW, tzn. fachowcy od zajęć ulicznych. Niektórzy się tam chwalili, że byli w Gdańsku w grudniu. Oni mieszkali na terenie naszego obozu. Było też kilka baraków pustych. Oni później wyjechali, przed 13 grudnia, pod koniec zjawili się inni. Wszyscy ci też mieli zapowiedziane, że my jesteśmy bandytami.

Rep.: Ale oni nie służyli jako wasza warta?

Żoł.: Nie. Z tym że oni mieli zawsze ze sobą broń, na salach też. A my dostaliśmy broń na takich zasadach: każdy z nas z nas miał wypisany numer i wiedział, jak ta broń wygląda. Na te tzw. zajęcia nosiliśmy ją ze sobą, ale amunicję mieliśmy tylko raz – podczas zajęć ze strzelania – ale to też było pod dużą obstawą. W ogóle zanim dostaliśmy tę broń, tak administracyjnie, trwało gdzieś do końca listopada, tak że miesiąc wojska bez broni.

Rep.: Opowiedz dokładniej o warunkach socjalnych – ilu was mieszkało w jednym domku? Jak wyglądały łóżka i umywalnia?

Żoł.: Mieszkaliśmy różnie, największe zagęszczenie było na początku, 41 osób, dość gęsto było w sumie. Łóżka mieliśmy piętrowe. Umywalnia była wspólna, murowany budynek w odległości 200 metrów od całego obozu. Prysznice działały dość rzadko, umyć się można było w zimnej wodzie, łaźnia była raz w tygodniu, ale wtedy już nas prowadzili do tego garnizonu. Pranie jakoś każdy sobie sam urządzał. Bielizna była wymieniana przy okazji tej kąpieli, tyle tylko, że czasami dostawało się ją brudniejszą, niż się oddawało. Każdy sobie musiał jakoś sam radzić. Na początku mieliśmy stosunkowo trudno, bo każdy, przyjeżdżając, nie brał ze sobą za wiele rzeczy, może trochę papierosów, jedzenie na drogę i nic poza tym. Byliśmy więc zdani na to, co było tam. Przez pierwszy miesiąc nie było możliwości nawet kupienia znaczka pocztowego czy koperty,

żeby napisać do domu. Pożyczaliśmy od tych, co ze sobą zabrali z domu. Czasami ktoś z kadry kupował nam, gdy jechał do pobliskiego Zambrowa. Później dopiero została otworzona kantyna.

Rep.: Czy wiedzieliście, że wasze listy nie dochodzą do domów?

Żoł.: Mieliśmy świadomość, że listy nie dochodzą. Były przypadki, że ktoś napisał list do domu zmartwiony, bo zostawił w domu trudną sytuację rodzinną. W zasadzie dopiero pierwsze odwiedziny, po miesiącu, wykazały, że listy nie dochodziły, gdy tymczasem on wysłał już trzy lub cztery. To przetrzało się w grudniu, przychodziły listy trochę szybciej. Ale na pewno te do nas były otwierane i cenzurowane, a te od nas też.

Rep.: Z czego składała się wasza pierwsza w obozie kolacja w pierwszym dniu?

Żoł.: Kawalek wodnistej kielbasy, kawa i nawet kawalek jakiegoś ciasta. To ciasto zdarzyło się tylko raz. Jedzenie w ogóle było bardzo złe.

Rep.: Zaczęłeś przedtem mówić o odwiedzinach rodzin. Jak to wyglądało?

Żoł.: Pierwsze odwiedziny były ciekawe. Przyjechała rodzina do kolegi ze Stalowej Woli, że on mógł rozmawiać z żoną telefonicznie. Żona czekała na wartowni, gdzie była łączność telefoniczna z garnizonom i szefami naszego obozu. Zawołali chłopaka do telefonu, rozmawiali 10 minut i żona musiała pojechać bez widzenia z nim z powrotem te 600 kilometrów. Nawet nie mogła zostawić żadnej paczki.

Później pierwsze większe odwiedziny były z Krakowa, zorganizowana autobusowa wycieczka. Wśród kadry dowództwa powstała panika, bo nie wiadomo, co się dzieje. Wjeżdża autobus, mnóstwo ludzi, według „nich” bałagan się robi, nie mogli sobie z tym poradzić. Tak że jak drugi raz była wycieczka, to już bardziej pilnowali. Wtedy na początku przyjechał z Krakowa z nimi jakiś ksiądz. Mógł z nami porozmawiać. Ale jak się jakaś większa grupka przy nim zebrała, to musiał od razu znaleźć się przy nim ktoś z kadry i słuchać, o czym się rozmawia. Po krótkiej chwili przerywał: „Dość już tego, teraz sobie idźcie”. Starali się tego księdza odciągnąć od nas. Ten ksiądz przyjechał do nas po raz drugi już po świętach. Wtedy chodził z nim cały czas zastępca dowódcy do spraw politycznych, który mu powiedział, że może rozmawiać z pojedynczymi ludźmi, a jeśli będzie rozmawiał z większą grupą, to go deportują z terenu obozu.

Rep.: Czyli do ogólnej mszy nie doszło?

Żoł.: Myśmy bardzo chcieli, żeby była msza polowa. Ale tę historię muszę opowiedzieć od początku.

Nas na początku dość straszili: stan wojenny; co trzeba w wojsku robić, żeby być dobrym żołnierzem; spotkania z prokuratorem, który nam dawał przykłady, kogo, za co i na ile posadził. Myśmy powiedzieli, że skoro tak chętnie robią spotkania z prokuratorami, to my chcemy mieć spotkanie z jakimś adwokatem, który zna się na całej procedurze sądów wojskowych. Na to przyjechał jakiś pan, chyba z Białegostoku, który nie wiedział właściwie, po co przyjechał, zaczął prawić komunały, spotkanie trwało pół godziny. Miał być po godzinie w każdej kompanii, ale to było o wiele krócej. Spotkania te były w obecności naczalstwa obozu. Adwokat mówił komunały, więc ludzie zrezygnowali z zadawania mu pytań – szkoda było czasu i nic to nie wносиło nowego.

Później zaczęliśmy się upierać przy mszy. Zaczęto nam tłumaczyć, że w historii LWP nie było takiej sytuacji, żeby jakaś msza się odbyła. Staraliśmy się wobec tego walczyć o przepustkę w niedzielę na trzy godziny, żeby dotrzeć do kościoła do Zambrowa, dokąd było 16 kilometrów, a do drugiej miejscowości 19 kilometrów. Na to dostaliśmy odpowiedź, że nie możemy, bo jesteśmy na poligonie, a na poligonie przepustek i urlopów nie ma. Na to myśmy zaczęli się upierać, że jak na poligonie, to do żywienia powinniśmy dostać dodatek poligonowy. Otrzymaliśmy odpowiedź, że nie jesteśmy na poligonie, tylko w takim samodzielnym zgrupowaniu. Na to my, że chcemy przepustki. Nie, nie można, bo jesteśmy na poligonie. Takie tłumaczenie w kółko.

Gdzieś mniej więcej po trzech tygodniach była organizowana w każdej kompanii świetlica w jednej takiej budzie. Telewizor, radio, potem wprowadzono obowiązkowe oglądanie dziennika TV, wyganiaли każdego z domków, żeby poszedł oglądać. Myśmy wobec tego chcieli posłuchać mszy niedzielnej przez radio. Zgromadziliśmy się w świetlicy, radio było ustawione i zaczęliśmy słuchać początku mszy. Wpadł zastępca dowódcy do spraw politycznych i kazał wszystkim wychodzić. Nikt nie usłuchał, więc on się zdenerwował, złapał przewód i wyciągnął wtyczkę. Nikt się dalej nie ruszył, on zaczął straszyć, wtedy ktoś powiedział: „Módlmy się za tego, który nam przeszkadza słuchać mszy”. Zaczęliśmy odmawiać pacierz i wszyscy powoli wychodziliśmy. Zrobili nam wtedy takie ogólne spotkanie. Zresztą takie ogólne apele, zbiórki były dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki. Wtedy nam zaczęli tłumaczyć, że nie możemy słuchać mszy, ponieważ wtedy nadawany jest magazyn wojskowy i musimy go słuchać. A kto by nie chciał słuchać magazynu wojskowego, to może sobie pisać listy lub rysować. Znaczy to, że mieliśmy aż dwie możliwości, a jeśli słuchać w radio, to tylko magazyn wojskowy. Później przed świętami uzyskaliśmy tyle, że mogliśmy obejrzeć pasterkę o dwunastej i było w Wigilię spotkanie z kapłanem.

Rep.: To był też kapłan? Czy z tej jednostki?

Żoł.: Nie, on był spod Białegostoku, tzn. on nam tak mówił. Sam był w mundurze w stopniu kapitana. Został wyciągnięty ze swojej wioskowej parafii i sam też nie wiedział po co i na co. Powiedziano mu, że jest tam taka jednostka i żołnierze się domagają, żeby z nimi porozmawiał, jak to wygląda praktykowanie w wojsku. Przyjechał, a w ten dzień robiono nam ogólną zbiórkę na stadionie, jak myśmy to nazywali „muppet show”. Tam nas zaprowadzono rano, najpierw takie ogólne komunały, a w pewnej chwili dowódca plutonów odprowadzili nas na bok, a dowódca zgrupowania i tych kilku jego piesków wsiedli w gaziki i pojechali na teren naszego obozu. Zaczęliśmy podejrzewać, że coś jest nie tak. Trzymali nas tak do dwóch godzin, w tym czasie zorientowaliśmy się, że oni pojechali, żeby nam zrobić rewizję w barakach. Potem przyjechał łącznik i kazał nam wracać do obozu. Oczywiście zastaliśmy wszystko poprzewracane. Ten stadion był stadionem polowym w obrębie garnizonu. W obozie zawsze zostawał jeden czy dwóch chłopaków. Byli to ci, którzy nie mogli chodzić, czy bardziej chorzy, oni opowiedzieli nam o tej rewizji. Im kazano wyjść z domków, przeprowadzono rewizję osobistą, a w tym czasie reszta buszowała po barakach. Mówili, że szukają wódki. Głównie w książkach jej szukali. Zabierali opłatki, obrazki o treściach religijnych. I dopiero potem zrobiono nam zbiórkę w świetlicy, bo przyjechał kapelan i chce z nami porozmawiać. Rozmowa oczywiście też nie była sam na sam, tylko z odpowiednio dobranym oficerem, na ogół był to zastępca dowódcy do spraw politycznych. Kapelan mówił, że żałuje, że mu mało dano czasu, ale on tu czekał na nas dwie godziny. Powiedziano mu, że jesteśmy na zajęciach i musi poczekać, aż my wrócimy. To było w tym czasie, kiedy my biegaliśmy sobie dla rozgrzewki po stadionie, śnieg zaczął padać, a oni robili rewizję.

Rep.: Czy kapelan nie mógł czy nie chciał domagać się przyprowadzenia was?

Żoł.: Myśmy zaczęli mu tłumaczyć, kim jesteśmy, dlaczego tu jesteśmy. To wywołało oczywiście protesty oficera pilnującego rozmowy, ale zawsze coś tam zostało przekazane temu kapelanowi. On powiedział, że poruszy sprawę wyżej, ale jak to potem wyglądało, to nie wiemy. Drugiego spotkania już z nim nie było i do końca obozu nie mieliśmy żadnych oddźwięków z pierwszego spotkania.

Rep.: Ja mam przeświadczenie, że do połowy grudnia nikt nie wiedział o tym obozie.

Żoł.: Kapelan był 24 grudnia. Myśmy wprawdzie zaraz od początku robili sobie tzw. testy prawdy, czyli listę w każdym baraku: imię, nazwisko, funkcje w związku, karany, internowany, zatrzymany itd., które były przekazywane dalej. Mogło to być tylko przy okazji odwiedzin, takich nie przez telefon, to minęło tych kilka tygodni, tak że były duże opóźnienia.

Rep.: Jak wyglądała wycieczka rzeszowska?

Żoł.: Okazale. W sumie też cały autobus. Przyjechali wszyscy w sobotę, było to już po naszym powrocie z obiadu, czyli około godziny 17. Przyjechali jakoś z pominięciem czujki, która miała być wystawiona w niedzielę, bo się spodziewano odwiedzin niedzielnych. Przyjechali pod sam obóz. Od razu poszła wiadomość, że są odwiedziny, są rodziny z Rzeszowa, każdy wybiegł, mnóstwo ludzi się zrobiło. Nagle zajeżdżają dwa gaziki, wyskakuje dowództwo, zaczyna nas rozganiać. Masy uciekają do baraków, a oni że zorganizują odwiedziny w świetlicy i wtedy będziemy mogli przyjść. Rodziny wysłali tym autobusem z powrotem, żeby sobie poszukały noclegów. Gdzieś po dwóch, trzech godzinach, około godziny 20 autobus przyjechał z powrotem, zrobiono odwiedziny w świetlicy. Sytuacja wyglądała prawie analogicznie jak na widzeniu w więzieniu, tzn. siedziało paru oficerów, paru chodziło i słuchało. Świetlica, czyli jeden z tych wagonów, jest dość mała na tyle ludzi. Trzeba było sobie na ucho mówić, żeby oficerek czegoś nie dosłyszał.

Rep.: Kiedy i w jakim momencie zorientowaliście się, że z tą wycieczką przyjechał ksiądz?

Żoł.: Wiedzieliśmy już w sobotę, w tę pierwszą część odwiedzin. Dowództwo ponoć go też straszyc, żeby nie robił tutaj jakiejś manifestacji, wieców itd., tylko pojedyncze rozmowy. Później w trakcie odwiedzin ksiądz siedział blisko mnie, był tam jeszcze jeden mój kolega. Na każdych poprzednich odwiedzinach spisywano personalia, kto do kogo przyjechał. I w tej świetlicy spytano również księdza, do kogo przyjechał. On zaczął mówić, że ogólnie do wszystkich, kolega go wyratował, bo powiedział, że do niego.

Później z tymi nazwiskami była o tyle ciekawa sprawa, że w drugiej połowie stycznia zaczęto robić książkę odwiedzin – rejestr, kto, kiedy, do kogo przyjechał, gdzie pracuje i z jakiej jest miejscowości. Wiem to dlatego, że dane spisywano w trakcie widzenia z dowodu i w tym rozgardiaszu często czegoś zapomniano. Potem ich pisarz, z normalnej zasadniczej służby wojskowej, chodził i każdego wypytywał o pozostałe brakujące dane. Nie wiem, w jakim celu, ale oni sami chyba dobrze wiedzą.

Rep.: Czy na nikim się to w jakimś stopniu nie odbiło?

Żoł.: Nie, ale to też było sporządzane w ostatnich dniach.

Rep.: W sobotę wycieczka wróciła do Łomży, prawda? Ja ci powiem, że ksiądz w Łomży wtedy dopiero dowiedział się, że w Czerwonym Borze jest taki obóz.

Żoł.: No tak, a przecież to jest zaledwie 16 km?!

W niedzielę rano ok. 9 godziny autobus przyjechał znowu i mogliśmy rozmawiać do godziny 13, ale dalej w świetlicy z obstawą.

Rep.: Czy wolno było rodzinie dać wam w trakcie rozmowy paczki?

Żoł.: Paczki tak, z tym że niektóre dowództwo sobie sprawdzało. Trzeba było wyjechać na nich z buzią i wtedy się jakoś z niesmakiem wycofywali. Jak już autobus odjeżdżał w niedzielę, wyszliśmy wszyscy się pożegnać. Wtedy też oczywiście z obstawą. Gdy ktoś machał dłonią z palcami nieodpowiednio ułożonymi, to też go brano później na spytki – dlaczego machał, po co machał i jak machał. Ale to w zasadzie bez jakiś dalszych konsekwencji.

Rep.: Mówisz o przesłuchaniach?

Żoł.: Tak, były robione systematycznie. Zaczęły się chyba w połowie listopada, już w drugim tygodniu. Wyglądało to tak, że przychodził łącznik oficera dyżurnego z tej zasadniczej jednostki, gdzie urzędowało trzech, czterech panów jednocześnie. Każdego z nas przesłuchiwali indywidualnie w osobnym pokoju. Pytania o sprawy związkowe, w zasadzie wyłącznie związkowe. Np. czy ja się zapiszę do nowych związków, gdy takie będą organizowane. Były też pytania o działalność poprzednią. Na początku przesłuchania były po południu, na ogół takie grupy jednorazowe po pięć, sześć osób. Później było część przed południem, część po południu. Było kilka takich okresów, tzn. zmasowane przesłuchania, że odbywały się prawie codziennie z wyłączeniem niedziel. Nie każdy przez to przechodził, a niektórzy po kilka razy. Z tego, co oni potem opowiadali, widać było, że częściej byli wzywani na przesłuchania ci, którzy podejmowali jakąś dyskusję z nimi, tzn. nie odpowiadali „tak, nie, nie wiem, nie pamiętam”, tylko usiłowali wprowadzić jakąś swoją argumentację. Byli to najczęściej ludzie, którzy przedtem mieli mniej do czynienia z SB. Przesłuchanie musiało być oczywiście przed każdym wyjazdem na urlopy i po powrocie na ogół też. No raczej dawało się odczuć, że częściej byli przesłuchiwanymi aresztowani niż internowani. W rocznicę [Święta Niepodległości] 11 listopada postanowiliśmy przeprowadzić strajk głodowy. Mieliśmy z początku w planie strajk całoninowy, ale w takich warunkach, jakie tam były, doszliśmy do wniosku, że jest to nierealne. Jeżeli miało coś z tego wyjść, to jeden posiłek, najlepiej obiad, bo to był najznaczniejszy posiłek, a nasze działanie musiało być z zaskoczenia. Zbiegło się to z przyjazdem na wizytację pułkownika Soja z Warszawy. Zaprowadzili nas do stołówki, każdy podchodził do okienka, brał obydwie dania, siadał przy stoliku, posiedział chwilę i odnosił jedzenie z powrotem. To trzeba rozróżnić. Niewzięcie posiłku kłóci się już z odpowiednimi paragrafami regulaminu i jest karane, jak np. jakiś bojkot o trochę innym niż odmowa wykonania rozkazu wydźwięku. Na początku szło wszystko dość sprawnie. Jadalnia jest dla kompanii wspólna, ale jest na tyle mała, że obiady odbywały się na raty. Czasem trzeba było stać pół godziny, aż koledzy zjedzą i zwolni się miejsce. Po dość krótkim czasie obecni tam oficerowie (widać dostali wcześniej wiadomość, że coś ta-

kiego będzie) kazali nam wszystkim wyjść ze stołówki. Wprowadzili nas potem małymi grupkami i obserwowali tak, że końcówka już musiała ruszać parę razy łyżką. Wtedy przyszedł ten pułkownik i jeden z naszego naczalstwa, który zameldował mu, że część odmówiła jedzenia obiadu. Padły pytania, którzy to byli. Nasze milczenie, na zasadzie przypadku zostali wskazani czterej. Od razu zostali oni zabrani na przesłuchania do garnizonu i stamtąd już nie wrócili. Przewieziono ich do Białegostoku do Prokuratury Garnizonowej. Śledztwo trwało około miesiąca. Głównymi świadkami oskarżenia byli szef tej stołówki i jeden z zastępców do spraw politycznych – odpowiedni człowiek. Rozprawa odbyła się z końcem grudnia. I zostali uniewinnieni. Gdy wrócili, oczywiście brodaci, dostawali różne pogroźki ze strony kadry – „czekajcie, wyście się wywinęli, ale my na was sposób znajdziemy”.

Robiliśmy także inne protesty. W grudniu, w rocznicę wojny, w tej ogólnej umywalni, gdzie wisiały lustra, ktoś namalował siedem krzyży i pod spodem napis „Wujek”. Od razu blokada umywalni, WSW, aparat, zdjęcia, przesłuchania, ale jakoś z tego nic nie zrobili. Ile wtedy przesłuchano osób? Ogólnie przez cały czas obozu 70%.

Inna historia. W jednym z baraków mieliśmy przed świętami mały balonik, na którym narysowaliśmy flamastrem czarne okulary. Na ścianie baraku mieliśmy szafkę na mydło, szczotki do butów, balonik stał sobie w szafie w dość widocznym miejscu. W jeden dzień, gdy wszyscy zostali wyprowadzeni do zajęć, nagle wpadło sześć osób i krzyczą – nie ruszać się, stać. Aparat fotograficzny, zdjęcia, białe rękawiczki, ściągnęli ten balonik, zaczęli go fotografować, odnieśli go do garnizonu, kilku przesłuchali – w końcu to też ucichło.

Rep.: Czy przed 10 listopada widzieliście jakieś specjalne „ruchy” dowództwa, jakieś przygotowania?

Żoł.: U nas raczej nie. Był to początek, nie byliśmy tak jeszcze zgrani, żłyci ze sobą. Z drugiej strony sami też jeszcze nie odróżnialiśmy za bardzo, co jest u naczalstwa normalne, a co nie. Oni nas od początku chcieli przekonać: wy jesteście tutaj po to, żeby was przeszkolić, jesteście normalną jednostką wojskową. W nas to trafiało jak grochem o ścianę. Część kadry była specjalnie dobrana, ale była też część przypadkowa, głównie ci młodzi oficerowie. Żeby z kimś dyskutować, to musi się mieć wyrobiony jakiś światopogląd. Jeżeli oficer mówi: „wy jesteście tutaj, a ja jestem z wami, bo mi tak kazali, muszę to tak robić” – to z tym w ogóle nie było po co dyskutować. Żeby nas przekonać, że tu jest normalne wojsko, był tzw. program szkolenia. Dwie kompanie, które były szkolone do przysięgi, ćwiczyły krok defiladowy, rotę przysięgi itp. Trzecia kompania miała mieć normalne ćwiczenia na poligonie, ale to się sprowadzało do tego, że szła na ten poligon trzy i pół kilometra z jakimiś minami i innym sprzętem. Potem były

próby szkolenia wyglądające smutnie i żałośnie. To trwało ok. półtora miesiąca, a potem dowódcy doszli do wniosku, że lepiej nas wykorzystają, jeśli będziemy pracować. Na początku zapowiadali pracę przy wyrębie lasu. Potem to nie przeszło i budowaliśmy drogę przez poligon – już samo to hasło śmieszyło. Był wytyczony kijeczkami taki ślad i trzeba było sypać na to piasek. Tam był piaszczysty teren, ale ten piasek, który sypaliśmy, był brany z innego miejsca i miał inny kolor, a więc droga się odznaczała. I tak robiliśmy coraz dalej, coraz dalej. Jak więc na początku szliśmy do pracy 3,5 km, to pod koniec doszło tak do 6 km. Wiadomo, jak tam każdy pracował, ale już ten marsz do przyjemnych nie należał. Na początku mieliśmy trzy dni szkolenia i trzy dni pracy, a potem już była tylko praca i praca. Droga się zaczynała znikąd i prowadziła donikąd. Urywała się też nie wiadomo gdzie i po co, tak też została, bo minęły te trzy miesiące.

Na początku stycznia była przysięga tych dwóch kompanii. Od początku starano się im wbijać w pamięć rotę przysięgi, bo do naczalstwa też doszły słuchy, że oni nie chcą tego mówić podczas przysięgi. Byli więc w różny sposób przekonywani i zastraszani, że muszą. Sama przysięga odbyła się przy obstawie milicji, było kilka suk. Przysięga była na terenie garnizonu na takim placu. „Radarowcy” byli gotowi w pobliżu. Ale jakoś to przeszło. Po przysiędze odwiedziny, dość nieliczne w tym dniu, chodź była to niedziela. Przysięga została też oczywiście wpisana do książeczek wojskowych, były okolicznościowe przemówienia. Rotę tę koledzy w końcu mówili, ale podobnie marnie i cicho, do książeczek została jednak wpisana.

Rep.: Mówisz cały czas: „doszły ich słuchy”.

Żoł.: Ja sądzę, że były wśród nas odpowiednie wtyczki, bo różne takie sprawy, o których rozmawialiśmy tak w zasadzie wewnętrznie, między sobą, bez kadry oficerskiej i to nawet te błahe – przedostawały się jakoś i kadra o nich wiedziała. Na przykład w dniu 10 listopada obstawa stołówki, „radarowcy” w trakcie przysięgi – na pewno ktoś kapował.

Rep.: Czy mam rozumieć, że szkolenia robili wam potem tylko z okazji waszych „wybryków”, czy to były regulaminowe szkolenia?

Żoł.: Trudno to nazwać regulaminowym szkoleniem, bo patrząc od strony teoretycznej, nie byłoby to w zasadzie żadne szkolenie. One nic nie dawały, po prostu nie mogły niczego nauczyć. Ideologiczne szkolenia były głównie dla tych, którzy byli zwolnieni z zajęć przez lekarza. Oni byli na początku wykorzystywani do różnych prac gospodarczych, bez względu na gorączkę, choroby. Zbiórka, pan dowódca wychodził, rozdzielał pracę – ten sprzęta to, ten tamto. Ale po naszych protestach, że ludzie chorzy nie mogą pracować na wolnym powietrzu,

byli oni zgromadzeni w świetlicach i mieli odpowiednie szkolenie polityczne, regulaminy, wyjątki z dekretu, takie różne drukowane do użytku wewnętrznego w wojsku broszurki na temat, jak to „Solidarność” chciała nasz kraj rozłożyć od wewnątrz itp.

Rep.: Jak wyglądała sprawa odwołań od służby wojskowej?

Żoł.: Dość spora część przyjeżdżających miała przy sobie całe kartoteki lekarskie, badania, zdjęcia, orzeczenia lekarskie – głównie choroby wrzodowe. Jeden z łaską, bo miał krótszą nogę, jeden bez palców u ręki. Tym wszystkim powiedziano, że komisja lekarska będzie na miejscu, będą mogli tam wszystko przedstawić i zostaną zwolnieni, nawet nie będą ich przebierać w mundury. Fakty wyglądały tak. Na początku była jakaś komisja, przyjechała w pierwszych dniach ze szpitala w Elku. Sprowadziło się to do tego, że ci w jakimś cięższym stanie mieli zwolnienie na cały okres od zajęć. Szkolenia mieli. Później ta część bardziej chora, lub ci, którzy rozchorowali się w trakcie obozu, byli trzymani w izbie chorych. Żadnych odwołań nie uwzględniono na początku obozu. Było kilka przypadków dopiero w styczniu, czyli pod koniec.

Rep.: A ci, którzy dostali choroby kwalifikujące się do leczenia szpitalnego już w trakcie obozu – wyskok dysku np.?

Żoł.: Po prostu jechali do szpitala w Elku, szpitala wojskowego, potem wracali. Zwolnienia do domu były dopiero w styczniu.

Rep.: Jak tam było z książkami, z czytaniem czegoś, a ludzie uczący się?

Żoł.: Książki można było mieć swoje, oficjalne wydawnictwa. Była też biblioteka z książkami przygodowymi. Uruchomiona została na początku grudnia. Docierały też z opóźnieniem gazety w małych ilościach. Uczący mieli mieć ze sobą własne książki.

Na początku zapowiedziano, że możemy sobie zaprenumerować gazety, jakie chcemy, były nawet robione listy naszych zamówień. Sprowadziło się to w końcu do kilku gazet: „Trybuna Ludu”, „Sztandar Młodych”, „Żołnierz Wolności” i tyle.

Posiadanie radioodbiornika było zabronione. Oczywiście było też straszenie, żeby zdać do tego a tego dnia, bo po tym okresie będzie karane. Udało się nam w jakiś sposób przechować kilka mniejszych odbiorników. Trzeba było jednak uważać na te niespodziewane o godzinie 20 naloty w barakach. Śmieszne to było tym bardziej, że ta kompania WSW obok nas miała radioodbiorniki. Korzystali z nich bardzo głośno i myśmy często mogli nawet od nich słuchać Głosu Ameryki.

Rep.: A jak wyglądały reakcje na wasze śpiewy?

Żoł.: To było bardzo tępione. Na początku w trakcie przemarszu do stołówki zaczęliśmy śpiewać *Pierwszą Brygadę*. To było prawie przestępstwo, poruszane na zbiórce [?]. Po kilku dniach zaczęliśmy tylko gwizdać – też tego nie wolno było. Za karę musieliśmy nauczyć się jakiejś wybranej przez siebie z zatwierdzonego wojskowego śpiewnika piosenki. Nauczyliśmy się *My ze spalonych wsi... my z głodujących miast*. Okazało się, że nie umiemy śpiewać i nie mamy śpiewać w ogóle. A my śpiewy takie wieczorem, np. piosenka *Zielona wrona*, zapewniały natychmiastową wizytę naczalstwa w baraku. Straszanie – kto śpiewa i co śpiewa – ale w zasadzie obywateli się tylko straszaniem.

Rep.: Chodzi mi przez cały czas o to, czy przez takie jakieś bunty bywały ostrzejsze represje czy też tylko słowne pogróżki.

Żoł.: Poza tą jedną sprawą w Białymstoku kończyło się na pogróżkach.

Rep.: A czy ta czwórka nieszczęśników jakoś się potem odznaczyła?

Żoł.: Byli potem bardziej pilnowani, musieli bardziej uważać – co mówią i co robią – żeby się nie narażać, bo im na wstępie zapowiedziano znalezienie nowego powodu do więzienia.

Rep.: Czy były jakieś przetasowania w wagonach?

Żoł.: Tylko te w pierwszych dniach.

Rep.: Czy to prawda, że w tym obozie była grupa recydywistów kryminalistów?

Żoł.: Kilku takich na pewno było. Był fakt kradzieży mundurów, głównie kurtek polowych. W tej pobliskiej wsi można było je sprzedać i kupić za to wódkę. Po świętach złapaliśmy jednego takiego złodzieja. Powiadomiony o tym dyżurny oficer i dowódca stwierdzili: Dobrze żeście złapali, śledztwo trwa, ale nie powiadomimy WSW, bo to błaha sprawa. Ci dwaj złodzieje zostali na końcu, razem ze wszystkim zwolnieni. A wcześniej na ogólnych zbiórkach dowódcy mówili na nasze kilkakrotne zgłoszenia kradzieży, że gdy my złapiemy kogoś, to obojętnie kto to będzie, ten będzie płacił za wszystkie kurtki, które wcześniej zginęły. Ten raz, gdy został złapany, sprawa szybko ucichła. To był też człowiek, jeden z tych pojedynczych, o których nikt przedtem nie słyszał.

Rep.: Chciałeś jeszcze powiedzieć o wizycie pułkownika z Warszawy.

Żoł.: Tak, to był jeszcze jeden taki dziwaczny przypadek. Usiłowano nam przecież od początku tłumaczyć, że jesteśmy normalnym wojskiem i musimy być przeszkoleni. W połowie stycznia przyjechał znów ten pułkownik Soja z Warszawy, ten sam, który był na początku listopada. Miał do nas krótką mowę, że cieszy się, że szkolenie tak sprawnie przebiegało, jak on to słyszał z różnych raportów. Jest z nas zadowolony i sądzi, że te trzy miesiące nam dużo dały. Dłacz-

go o tym w ogóle mówię? Bo w końcu powiedział takie jedno znaczące zdanie: „Wielu z was może być nam wdzięcznym za to, że te trzy miesiące spędzili tutaj, a nie w swoich zakładach pracy. Bo w zakładach pracy mogłyby nam się przytrafić jakieś różne nieprzyjemne sprawy, bo to wypadałyby różne rocznice i różnie mogło z nami być. A tu byliście bezpieczni i cieszy się, że tak to wszystko ładnie się ułożyło”. Było to zdanie dość dziwne, nieprawda?

Rep.: Dałeś mi po części odpowiedź na moje następne pytanie. Myśmy się tutaj zastanawiali, czy wy wiecie, po co was tam wzięto. Taką całą dużą grupę ludzi, ludzi trudnych do uspokojenia, wicherzycieli, zgromadzić w jednym miejscu. I to w momencie, gdy oficjalnie dawało się odczuć, że władza ma trochę dosyć ośrodków odosobnienia. I problemów z tym związanych.

Żoł.: To nie ja powiedziałem, to pan pułkownik Soja.

Rep.: Na koniec opisz mi swoich dowódców, dobrze?

Żoł.: Dowódcą całego zgrupowania był major Braja, imienia nie znam, prawdopodobnie Józef. Pochodził z Góry Kalwarii, tam była jego jednostka.

Rep.: A w ogóle, czy wszyscy dowódcy byli przysłani skądś na okres zgrupowania?

Żoł.: Wszyscy byli z różnych jednostek, jeden był nawet z Rzeszowa z ulicy Lwowskiej, kilku było z Warszawy. Spróbuję ich wymienić. Dowódca to major Braja. Zastępcą jego do spraw politycznych był kapitan Górski. Było widać, że on miał niewiele do czynienia z wojskiem, a głównie był specjalistą od węszenia.

Rep.: Jak sądzisz, czy on był z kontrwywiadu czy безпеki?

Żoł.: Raczej z безпеki. Po pewnym czasie, tzn. mniej więcej w połowie, doszedł jeszcze jeden – kapitan Kałamański – jeszcze lepszy fachowiec od szukania niż Górski. Tzn. Górski go tam wprowadził w niektóre rzeczy – gdzie szukać i czego szukać. Np. alkoholu w książkach. Na początku on był nie wiadomo kim. Tzn. przybył nowy oficer, chodzili sobie razem z Górskim. Na pytania, co on tu robi i kim jest, on odpowiadał, że przyjdzie czas, to się dowiemy. Później został oficjalnie przedstawiony jako jakiś tam zastępca dowódcy do spraw nie wiadomo jakich. I na tym pozostało. Reszty tych nazwisk dowódców nie bardzo pamiętam, ale to byli ludzie, którzy nie mieli z nami dużych styczności, tzn. nie chodzili bezpośrednio po barakach. Wydaje mi się, że najbardziej byli dobierani pod względem fachowości zastępcy dowódcy do spraw politycznych kompanii. Ich było trzech. Jednym z nich był kapitan Suszyński i jego zastępca do spraw politycznych, porucznik Smaga. Ten naczelny dowódca nie mieszał się w jakieś historie, które by miały na celu szykanowanie, podciągnięcia pod jakieś sprawy karne, ale to te zaległości nadrabiał porucznik Józef Smaga. On miał w kompa-

nii te różne pseudowykłady i szkolenia i był świadkiem oskarżenia w sprawie czwórki z 10 listopada.

Dalej – z takich bardziej wyróżniających się był w 1 kompanii dowódca jednego z plutonów, którego nazwiska nie bardzo pamiętam. Miał pseudonim „Dziobaty”, bo miał twarz całą w znakach po ospie. Koledzy mówili o jego metodach wychowawczych, było to nawet mówione w audycji Radia Wolna Europa. On się potem bardzo zdenerwował i podwoił swoje metody. Widocznie chciał zasłużyć na jeszcze lepsze opinie.

Na ogół dowódcy plutonów byli w dość młodym wieku, młodszy od nas. Była taka tendencja, że każdy z nich chciał się w jakiś sposób stamtąd wyrwać. Jednemu to się udało. Był to dowódca kompanii, który zaraz po dwóch tygodniach wyjechał i już więcej nie wrócił. Był to porucznik Duda z Warszawy, a na jego miejsce przyszedł właśnie ten kapitan Suszyński. Kapitan Suszyński był podczas tych trzech miesięcy kilka razy na urlopie, i wtedy pełnił władzy przejmował jego zastępcę do spraw politycznych, a ten usiłował nas w różny sposób szykanować.

Rep.: Przedtem mówiłeś o którymś z dowódców, że był w miarę znośny i że sam stwierdzał, że nie chce wam za bardzo szkodzić.

Żoł.: Może nie szkodzić, ale on podchodził do wszystkiego z jakimś dystansem. Nie miał ożywionych kontaktów z pozostałymi oficerami, oni chodzili razem, on zawsze sam. To właśnie był kapitan Suszyński. Z nim w zasadzie jakiś zatargów nie było. Chociaż czasami były takie sprawy, za które mógł wyciągnąć jakieś konsekwencje. Atmosfera była tam przecież cały czas podminowana. On jednak nie doprowadził do tego. On po prostu robił to, co mu kazali. Nie wiadomo, w jakich stosunkach był z pozostałymi, jak wyglądały ich rozmowy, jak się przy nich zachowywał, ale jeśli chodzi o stosunki z nami, to...

Rep.: Tylko czy wyczuwałeś, że to jest specjalny liberalizm, żeby was podpuszczać, czy to jest celowo jego zachowanie, czy to jest z jego własnej duszy?

Żoł.: Chyba to wynikało z jego uczciwości, przynajmniej ja miałem takie wrażenie. Ale podczas jego nieobecności było inaczej. Np. sprawa chłopaka z Łowicza. Nie zrobiono z tego sprawy sądowej, na szczęście tylko wewnętrznej. Został przedstawiony do raportu pod zarzutem, że odmówił wykonania rozkazu. To się działo podczas budowy tej drogi donikąd. Ten chłopak był w wieku ok. 35, 37 lat, miał kłopoty z sercem. Podczas tej pracy powiedział raz, że już więcej nie może, że chciałby odejść z powrotem do obozu do lekarza. Że już nie wytrzyma, że jest zmęczony. Nie pozwolono mu pójść do obozu. Wiadomo, że człowiek był na pewno zdenerwowany – jemu się kilka słów wyrwało, im się kilka słów wyrwało. Ale dowódcy zrobili z tego sprawę. Tzn. tak działał znowu

porucznik Smaga. Chłopak został ukarany chyba dziesięciodniowym aresztem. Później, gdy myśmy pojechali, on jeszcze został w areszcie.

Rep.: Kto był z wizytacją z Warszawy z dowództwa?

Żoł.: Tylko ten pułkownik Soja. On był dwa razy. Był szefem służby saperskiej. Pierwszy raz w trakcie tej głodówki 10 listopada i wtedy też tłumaczył nam, jakie rzeczy można, a jakich nie można robić w wojsku. Do niego musiały też dotrzeć słuchy, że dwie kompanie szkolone do przysięgi nie akceptują roty przysięgi. Chodziło o fragment o współpracy z sąsiadami. W trakcie jego mowy do nas też nam długo tłumaczył, czym jest dla żołnierza rota przysięgi. Drugą wizytę złożył nam pod koniec stycznia, wtedy właśnie nas pochwalił za wysokie wyniki w szkoleniu i powiedział te cytowane przeze mnie wcześniej słowa. Poza tymi dwiema nie mieliśmy innych wizyt i inspekcji. Ale tak sądzę, że te inne wizyty nie były im wcale potrzebne, bo przecieki dochodziły do nich na pewno cały czas. Na pewno były przekazywane codzienne meldunki do Warszawy, a szczególnie ich nasilenie było przed takimi znaczącymi datami jak np. 13 grudnia. Wtedy też było widać ich wzmocnione dyżury.

Rep.: Który z tych dowódców odznaczał się szczególną wrogością do wszystkich księży?

Żoł.: Oczywiście wszyscy polityczni dowódcy. Np. kpt. Kałamański i porucznik Smaga oraz kapitan Górski. To właśnie ten ostatni pilnował nas, żebyśmy nie słuchali mszy niedzielnej w radio.

Rep.: Jak nazywał się ten dowódca z Rzeszowa?

Żoł.: Był to porucznik Nowosiadło, z jednostki na ulicy Lwowskiej, on był dowódcą plutonu. Też po nim widać było, że nie czuje się dobrze w tej roli.

Rep.: Czy dowódcy tych kompanii WSW zakwaterowanych z wami mieli z wami jakieś kontakty?

Żoł.: Wszelkie kontakty z nami im zakazano, bo to wiadomo – bandyci, niebieskie ptaszki, kryminaliści itp. Na obiady oni chodzili do swojej polowej stołówki, a spotykaliśmy się tylko w tej ogólnej łaźni. Zawsze wtedy nawiązywały się jakieś rozmowy. Na początku było widać ich ogromną nieufność. Zresztą nieufność była z obydwu stron. Potem się to jakoś rozeszło. Nie było jakiś silniejszych związków z nimi lub regularnych wizyt i rozmów, ale zawsze przy okazji na zasadzie przypadku.

Rep.: Jak nazywał się ten kucharz, który przyczynił się do oskarżenia tych chłopców z głodówki 10 listopada?

Żoł.: To nie był kucharz, tylko szef stołówki. Nie znam jego nazwiska, a zresztą on był przyuczony przez porucznika Smagę co do swoich wypowiedzi.

Rep.: Jak wyglądał lekarz obozowy?

Żoł.: Tam się przewinęło trzech lekarzy. Jeden był na tej zasadzie jak reszta kadry, tzn. przeniesiony z innej jednostki. Jego nazwiska nie pamiętam, ale też on był bardzo krótko i potem też się postarał o przeniesienie. Na jego miejsce dano już lekarza z tego garnizonu w Czerwonym Borze. On przyjmował w garnizonie, a u nas miał określone godziny popołudniu. To był lekarz znanego nam typu – głównymi jego lekarstwami były aspiryna, zwolnienie z zajęć i środki przeciwwgorączkowe lub przeczyszczające. Miał on izbę chorych w jednym baraku. Różniło się to od naszych wagonów tylko tym, że tam było cieplej, bo sanitariusze dbali o te małe piecyki. Było kilka osób, które w zasadzie przez cały okres obozu tam przeleżały lub miały skierowanie do szpitala na jakieś badania.

Rep.: Czy któregoś z dowódców możesz określić jako dobrego człowieka, wyjątkowo wam sprzyjającego?

Żoł.: Nie, na pewno nie.

Rep.: Opowiedz jeszcze coś o waszych prywatnych „zajęciach ręcznych”. Mnie chodzi o to, w jaki sposób w warunkach kontrolowanych i polowych mogliście takie ładne rzeczy zrobić?! Nocą przy świeczkach?

Żoł.: Nie, choć nocą też trochę robiliśmy, bo mieliśmy przecież całonocne dyżury na zmiany, przy piecykach. Tylko wtedy nie można było nic piłować, bo akustyka tych wagonów była wyjątkowo dobra. Głównie robiliśmy te pamiątki po południu, gdy się komuś udało wykręcić od tej przymusowej pracy i od „szkolenia kręgosłupa”. Ale wszyscy robili głównie po południu po obiedzie. Robiliśmy różnego rodzaju ozdabianie kopert, okolicznościowe stemple, rysunki na korze, krzyżyki plecione z pasków skóry wyciętej z czapki. Po pewnym czasie była też awantura o te czapki, apel mundurowy, ze sprawdzaniem czapek. Potem się to uspokoiło, czapki też w końcu można było zdać, bo był na końcu taki bałagan, a poza tym myśmy przecież już od razu dostali stare używane mundury. Nasza twórczość rozpoczęła się od krzyżyków plecionych, potem robiliśmy krzyżyki z monet, a potem takie potrójne kombinacje – orzełek z koroną, na tle krzyża wpisanego jeszcze w serduszko. Zaczęło się od pracy takim dużym pilnikiem, ale to była iście benedyktyńska praca, szczególnie przy tych drobnych wycięciach. Potem zdobyliśmy pilniczki przy okazji wyjazdów kogoś na urlop lub na komisje lekarskie do Ełku. Wiele razy mieliśmy niezapowiedziane wizyty w domkach przy takiej pracy. Głównie kpt. Górski wraz z papużką nierozłączką, kpt. Kałamańskim. Najgorsze było, gdy wpadli od razu do środkowej części

baraku, bo wtedy było utrudnione ostrzeganie kolegów z boku. Kiedyś podczas takiej wizyty ktoś piłował w środkowym wagonie, zdążył wszystko schować, pozostały tylko opiłki metalu i drobne kawałeczki. Kpt. Górski oczywiście to wywęszył na podłodze, ale i tak nie udało mu się wyszperać, co my robimy. W ręce dowództwa wpadł tylko jeden taki krzyżyk zgubiony przez kogoś. Czasem wpadały też teksty wierszy lub piosenek, ale na ogół wtedy nie można było ustalić właściciela i go oskarżyć.

Rep.: Powiedz coś na temat piosenek.

Żoł.: Głównie były to piosenki te dawniejsze. Ale ponieważ ludzie przyjechali z różnych regionów, więc następowała wieczna wymiana. Tam powstało tylko kilka nowych. Każdy sobie chciał spisać cały śpiewniczek. Te nowe piosenki zacytuję na końcu.

Z tymi naszymi pamiątkami trzeba było uważać najbardziej w ostatni dzień. Dowództwo, podstawiając samochody celem odwiezienia nas na stację PKP, urządziło nam jeszcze wręczanie suchego prowiantu i oczywiście rewizję. Głównie rewidowano bagaże. Dowódcy posuwali się nawet do tego, że przesypywali pod światło każdą paczuszkę herbaty, żeby w niej coś znaleźć. Ja do końca tego nie oglądałem, nie wiem, czy ktoś wpadł czy nie. Ulotniłem się z kilkoma kolegami bokiem i poszedłem kilkanaście kilometrów do stacji na piechotę. Uniknąłem tym samym tych wszystkich przyjemności.

Rep.: Dziękuję ci za tę opowieść.

Skład plutonu w Czerwonym Borze:

1. Miller Janusz, ur. 5.04.1948

Rzeszów, ul. Graniczna [...]

Pracownik: Zakłady Zmechanizowanego Sprzętu Domowego „Predom-Zelmer”

Funkcja w „Solidarności” – Przewodniczący Komitetu Założycielskiego, z-ca Przewodniczącego Komisji Zakładowej

żonaty, dwoje dzieci, żona pracuje

przed Czerwonym Borem operacja pęcherzyka żółciowego, tj. konieczność diety, której tam nie zachowywał

2. Jaworski Lesław, ur. 22.03.1948

Łańcut, ul. Nowotki [...]

Pracownik: [Zakłady Zmechanizowanego Sprzętu Domowego] „Predom-Zelmer”

funkcja w „Solidarności” – Przewodniczący Komisji Wydziałowej Wydz. PR-50

żona na urlopie bezpłatnym, dwoje dzieci

20.11.1982 złamał rękę i przebywał przez cały czas w obozie, tj. nie uczestniczył w zajęciach

3. Pękala Emil, ur. 1947

Rzeszów, ul. Wincentego Pola [...]

[Pracownik: Zakłady Zmechanizowanego Sprzętu Domowego „Predom-Zelmer”]

Przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarności”

kawaler

internowany od 13.12.1981 do 24.04.1982 w Załężu

4. Kazimierski Zbigniew, lat 28

Rzeszów, ul. Podwisłocze [...]

[Pracownik: Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL” Rzeszów]

Członek Komisji Wydziałowej Wydz. 54

żonaty, jedno dziecko

5 Jakubowski Roman, ur. 26.08.1949

Rzeszów, ul. Rycerska [...]

Pracownik: [Zakłady Zmechanizowanego Sprzętu Domowego] „Predom-Zelmer”

z-ca Przewodniczącego Komisji Wydziałowej Wydz. PR-40

żona nie pracuje, troje dzieci

6. Kieś Marek, lat 28

Rzeszów, ul. ZMP [...]

Pracownik: WSK-PZL [Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL” Rzeszów]

członek „S”

żona na urlopie wychowawczym, dwoje dzieci

7. Wojturski Grzegorz, ur. 06.10.1955 r.

Rzeszów, ul. Bolesława Chrobrego [...]

Pracownik: WSK-PZL Rzeszów [Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL” Rzeszów]

Przewodniczący Komisji Wydziałowej Samorządu Pracowniczego Wydz. W-57

Kawaler

aresztowany 01.05.1982, zwolniony z aresztu 28.07.1982, wyrok z wolnej stopy

8.09.1982 w wysokości 1,6 roku w zawieszeniu na 3 lata i 3 tys. zł grzywny, odsiedziane

8. Jakim Roman

Rzeszów, ul. Łukasiewicza [...]

Pracownik: WSK-PZL Rzeszów [Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL” Rzeszów]

żona nie pracuje, dwoje dzieci

9. Bieda Stanisław

Straszydle 501

Pracownik: WSK-PZL [Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL” Rzeszów]

żona nie pracuje, jedno dziecko

10. Rak Jan

Zwięczyca, ul. Jarowa [...]

Pracownik: SKR Boguchwała, MPK Rzeszów

żona na urlopie wychowawczym, jedno dziecko

11. Gieroń Kazimierz, lat 30

Rzeszów, ul. Wnukowskiego [...]

Pracownik: MPK, kierowca

członek Prezydium Komisji Zakładowej [NSZZ „Solidarność”] MPK

żona na urlopie bezpłatnym, dwoje dzieci

12. Majkut Lesław, ur. 1950

Rzeszów, ul. ZMP [...]

Pracownik: Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe

Przewodniczący Komisji Zakładowej [NSZZ „Solidarność”]

żona pracuje, dwoje dzieci

internowany od 13.12.1981 do 27.02.1982 w Załężu

13. Czajkowski Janusz, lat 25

Rzeszów, ul. Nizinna [...]

Pracownik: MPK Rzeszów

[członek NSZZ „Solidarność” MPK]

żona na urlopie wychowawczym, dwoje dzieci

14. Godziec Roman, lat 27

Dylągówka [...]

Pracownik: Zakłady Drobiarskie Rzeszów

żona nie pracuje, dwoje dzieci

15. Popek Bogdan

Zwięczyca, ul. Starowiejska [...]

Pracownik: Zakłady Transportu Mięsnego Rzeszów; kierowca MKR-u Rzeszów

żona na urlopie wychowawczym, dwoje dzieci

16. Hady Marian, ur. 1950

Rzeszów, ul. Puszkina [...]

Pracownik: Zakłady Naprawy Sprzętu Medycznego Rzeszów

Przewodniczący Komisji Zakładowej [NSZZ „Solidarność”] i członek Prezydium Zarządu Regionu [Podkarpackiego NSZZ „Solidarność”]

żonaty, dwoje dzieci

internowany od 29.12.1981 do 19.02.1982

chory na dyskopatię, przebywał w Czerwonym Borze w szpitalu od 04.01.1983 na urlopie i do końca poligonu nie wrócił do jednostki

17. Kruczek Janusz, lat 26

Rzeszów, ul. B. Chrobrego [...]

Pracownik: Zakłady Radiowe „Unitra” Rzeszów

Członek Komisji Zakładowej [NSZZ „Solidarność”]

kawaler

18. Roman Adam, ur. 1949

Boguchwała, ul. Tkaczowa [...]

Pracownik: Zakłady Porcelany Elektrotechnicznej [Zapel] w Boguchwale

[przewodniczący wydziałowego koła NSZZ „Solidarność”]

żonaty, dwoje dzieci

aresztowany 31.12.1981, wyrok 1,5 roku w zawieszeniu na 4 lata

19. Wiercioch Wojciech, lat 29

Mielec, ul. Tetmajera [...]

Pracownik: WSK-PZL Mielec

[członek NSZZ „Solidarność” WSK-PZL]

żonaty, dwoje dzieci

20. Roźniak Stanisław, ur. 13.09.1951 r.

Mielec, ul. P. Skargi [...]

Pracownik: WSK-PZL Mielec [Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Mielec”]

Przewodniczący Komisji Wydziałowej [NSZZ „Solidarność”] Wydz. AW-34, członek Plenum WSK (?)

stan zdrowia – przypadkowa dolegliwość związana ze służbą wojskową

żonaty, dwoje dzieci

kategoria wojskowa D

21. Wyrzykowski Marek, ur. 17.11.1953 r.

Mielec, ul. Kusocińskiego [...]

Pracownik: WSK-PZL Mielec [Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Mielec”]

zdrowie dobre

żonaty, jedno dziecko

kat. wojskowa A

22. Kuduk Józef, ur. 9.12.1954 r.

Mielec, ul. Dąbrowskiego [...]

żonaty, jedno dziecko

kategoria wojskowa A

23. Maj Adam, ur. 8.02.1948 r.

Mielec, ul. Biernackiego [...]

Pracownik: WSK-PZL Mielec [Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Mielec”]

żonaty, jedno dziecko
kat. wojskowa A

24. Biały Stanisław, lat 28
Rzeszów, ul. ZMP [...]
Pracownik: Zakłady Radiowe „Unitra” Rzeszów
Przewodniczący Komisji Zakładowej [NSZZ „Solidarność”]
żonaty, jedno dziecko

25. Szczepański Józef, ur. 1951
Ryżne [...], woj. rzeszowskie
Pracownik: oddział PKS Osobowy Rzeszów
skarbnik Komisji Zakładowej PKS Rzeszów, Przewodniczący NSZZ RI w Hyżnem

26. Pruchnik Ryszard, ur. 14.11.1951 r.
Rzeszów, ul. Wnukowskiego [...]
Pracownik: Zelmer Rzeszów, kierownik wydziału gospodarczego
nie był członkiem „S” (?)
żonaty, jedno dziecko

27. Sanecki Kazimierz
Nowa Wieś [...], województwo rzeszowskie
Pracownik: Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Produkcji Kruszywa i Usług Geologicznych
„Kruszgeo”
kawaler

28. Kalina Wacław
Kraków, ul. Nad Sudołem [...], w Rzeszowie Hotel Robotniczy WSK, członek Komisji
Wydziałowej WSK Rzeszów, MKR Rzeszów
internowany od 30.09. do 11.09.1982

29. Alot Stanisław, ur. 1950 r.
Rzeszów, ul. Polana [...]
Sekretarz Zarządu Regionu Rzeszów
nauczyciel, od 1.05.1982 do 21.09.1982 bez pracy, potem polonista w Szkole Podstawo-
wej nr 21 w Rzeszowie
żonaty
dzień przed wyjazdem do Czerwonego Boru odebrał żonę po ciężkiej operacji serca
z kliniki w Krakowie
po wielu perypetiach zwolniony z Czerwonego Boru 23.12.1982

30. Krztoń Marian, lat 32
Rzeszów, ul. Słowackiego [...]

Pracownik: WSK Rzeszów
Przewodniczący Komisji Wydziałowej Wydz. TGP (?)
internowany od 30.08.1982 do 11.09.1982

31. Rędziniak Tadeusz, lat 31

Maława [...]

Pracownik: Wydz. 53 (?) Rzeszów [Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL” Rzeszów?]

Żona na urlopie wychowawczym, dwoje dzieci

32. Wajs Jan, lat 32

Krosno

Pracownik: Zakładów Naprawczych PKS

33. Kopczak Czesław, lat 30

Krosno

Przewodniczący Komisji Zakładowej [NSZZ „Solidarność”] PKS w Krośnie

34. Rząsa Marek

Członek KZ [NSZZ „Solidarność”] Zakładów Radiowych „Unitra” w Rzeszowie

35. Bryła Jerzy, ur. 18.04.1954 r.

Mielec, ul. Piotra Skargi [...]

Żonaty, dwoje dzieci

bez kategorii wojskowej, w wojsku nie był uprzednio

36. Czerwiński Jan, ur. 12.06.1950 r.

Mielec, ul. Gagarina [...]

[Pracownik: Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Mielec”]

[członek NSZZ „Solidarność”, 13 II 1982 r. organizator akcji protestacyjnej]

kategoria wojskowa D

kawaler